

TROCHĘ ZA, A TROCHĘ PRZECIWI (V)

Jerzy J. PARYSEK

Uniwersytet im. A. Mickiewicza w Poznaniu
Wydział Geografii Społeczno-Ekonomicznej
i Gospodarki Przestrzennej
e-mail: parysek_jerzy@yahoo.com
ORCID: 0000-0003-0044-6582

„PRAWDZIWA CNOTA KRYTYK SIĘ NIE BOI”¹

“True virtue fears no criticism”

Nie, nie, nie! Nie będzie to wprowadzenie do geografii moralności, choć jest to być może pole badawcze, jakie warto byłoby odkryć ku społecznemu pożytkowi.

Cnota w tym tekście jest bowiem pojmowana tak, jak to czynili starożytni Rzymianie, czyli jako *virtus*, co w polskim tłumaczeniu może oznaczać: prawość, honor, godność, szlachetność, uczciwość, odwagę itp. Jasne, że tak pojmowana cnota nie może bać się krytyki – i to zapewne z wielu powodów. Ale nie to jest przedmiotem niniejszych refleksji, ale sama krytyka – i do tego krytyka naukowa, której nie boi się tak właśnie pojmowana cnota.

Jak pojmować należy słowo „krytyka”? Ten pochodzący także od starożytnych Rzymian termin (łac. *criticus*) generalnie oznacza analizę i ocenę konkretnego przedmiotu, a właściwie jego stanu rzeczy, z punktu widzenia określonych wartości. Proces ten (analiza i ocena) jest traktowany jako niezbędny składnik procesu myślenia. Często też występuje wraz z określonym przymiotnikiem. Mamy zatem krytykę: formalną, literacką, polityczną, logiczną, personalną, także naukową. Ta ostatnia – naukowa – odnosi się do, a raczej oznacza wskazywanie dobrych i złych stron dzieła naukowego z punktu widzenia jego wartości naukowych, przede wszystkim poznawczych i praktycznych, ale także jego poprawności logicznej, metodologicznej, empirycznej oraz formalnej. Jako taka jest oceną wartości dzieła naukowego będącego przedmiotem krytycznej oceny, a tym samym kształtuje poziom wiedzy w konkretnej dyscyplinie naukowej. Stanowi więc niezbędny składnik życia naukowego oraz nauki jako systemu społecznego.

¹ Słowa z „Księgi VI” *Monachomachii, czyli wojny mnichów* Ignacego Krasickiego. Anonimowo dzieło wydano w 1778 r. w Lipsku. Po raz pierwszy nazwisko poety podano w *Dzieltach poetyckich* z 1802 r. i 1803 r. (Warszawa).

Termin krytyka ma także swoje miejsce w mowie potocznej i wtedy oznacza konkretne wystąpienie czy zajęcie stanowiska w określonych sprawach. Mogą to być zazwyczaj negatywnie oceniane: fakty, rzeczy, zjawiska, postawy, a najczęściej stanowiska, punkty widzenia, poglądy czy też przekonania konkretnych osób. Tego rodzaju krytyka wyraża jednak przede wszystkim negatywną ocenę konkretnego stanu rzeczy lub punktu widzenia – i najczęściej jest narzędziem walki politycznej, przejawem wrogości, nietolerancji, nagonki czy tak obecnie popularnego *hejtu*. Takie pojmowanie krytyki nie może mieć jednak miejsca w nauce, choć jak to mawiali starożytni Rzymianie (znów oni, chociaż już dawno nie byłem w Wiecznym Mieście), *tempora mutantur et nos mutamur in illis* – niestety.

Podjęcie tematu krytyki naukowej jest jednak ważne i to zapewne z wielu względów. Moim zdaniem przede wszystkim z tego, że zarówno brak prawdziwej krytyki, jak i jej niekiedy patologiczny (w różnych aspektach) charakter należą do głównych przyczyn słabości nauki polskiej. Oczywiście nie całej, ale wielu dyscyplin dziedziny nauk społecznych, w tym geografii społeczno-ekonomicznej i gospodarki przestrzennej.

Krytyka naukowa, jak sama nazwa wskazuje, dotyczy przede wszystkim twórczości naukowej i jako taka towarzyszy działalności naukowej od pierwszych kroków na ścieżce rozwoju naukowego, do której prowadzą **prace dyplomowe i magisterskie**. Zadaniem zarówno promotora tych prac, jak i recenzentów jest ocena nie tyle wartości naukowej czy praktycznej przedstawianej pracy, co sprawdzenie, ale i ocena fachowych kompetencji dyplomanta w zakresie podjętej problematyki.

Poważniej przedstawia się sprawa krytyki w przypadku rozpraw doktorskich i habilitacyjnych. Wprawdzie ocena tych pierwszych – **prac doktorskich** – jest również sprawdzeniem kompetencji w zakresie podjętej problematyki, jednak także uwzględnić musi wartość naukową przedstawianego dzieła. Doktorat to przecież praca na stopień naukowy. Chociaż oceny pracy doktorskiej dokonują wybrani recenzenci, to jednak pierwszym oceniającym bezwzględnie powinien być promotor. Może w tym miejscu wyrażę niepopularny pogląd, ale moim zdaniem właśnie promotor jest obok jej autora współodpowiedzialnym za jakość oraz standard prezentowanej pracy doktorskiej. I to nie tylko z tego powodu, że za promotorstwo otrzymuje symboliczne wynagrodzenie, ale że taka jest utwierdzona tradycją akademicką jego powinność. Kiedyś nie było z tym problemów, ale były to inne czasy. W wyższych uczelniach byli mistrzowie, potrafiący skupić wokół w siebie uczniów, za rozwój naukowy których brali pełną odpowiedzialność w myśl maksymy: „mój uczeń świadczy o mnie”. Tego rodzaju rola wymagała nie tylko odpowiedzialnego prowadzenia adepta nauki po ścieżkach naukowego rozwoju, ale także podejmowania niekiedy trudnych decyzji, w tym takich jak stwierdzenie braku cech, jakie powinny cechować osobę zamierzającą się poświęcić nauce i przekazanie tej opinii aspirującemu do takiej profesji. Jest to wyjątkowo delikatna sprawa, ale czasami są takie sytuacje, w których trzeba zajmować trudne i odpowiedzialne stanowiska.

Doktorat nie może być oczywiście dziełem promotora, lecz samodzielną pracą doktoranta. Zadaniem promotora jest jednak przede wszystkim zadbanie o poprawność: formalną, logiczną, teoretyczną, metodologiczną i empiryczną dzieła – i do tego zakresu sprowadzić jedynie można współodpowiedzialność promotora za jego (dzieła, czyli dysertacji) wartość naukową. Dzieła, którego problematyka powinna pozostawać wyłączną sprawą doktoranta, choć być rozwiązywaną po jej akceptacji przez promotora, co zdaje się sprawą oczywistą. Zupełnie oczywistą sprawą wydają się też być kompetencje promotora w zakresie podejmowanej problematyki, co niestety nie zawsze ma miejsce. Może warto byłoby do tych tradycji powrócić.

W ostatnim czasie, w procedurach ubiegania się o stopień doktora (także doktora habilitowanego) pojawiły się jednak pewne nowinki, których nie przyjmuję z entuzjazmem, moim zdaniem nie zawsze się bowiem sprawdzają lub są dobre, zwłaszcza w dyscyplinie geografia społeczno-ekonomiczna i gospodarka przestrzenna. Pierwszą z nich jest możliwość doktoryzowania się na podstawie zbioru monotematycznych publikacji. Jakkolwiek w naukach empirycznych sprawdzenie wartości naukowej publikacji w pewnym sensie gwarantuje charakter tych nauk (doświadczenie), niemniej przeto w naukach społecznych możliwości empirycznej weryfikacji dokonań naukowych są raczej ograniczone.

Ponadto stopień obiektywności oceny wartości naukowej wydaje się być w naukach empirycznych także większy niżli w społecznych (przysłowiowe „mędrca szkiełko i oko”, choć Wieszczyk ponad to przedkłada „czucie i wiarę”; tak czy owak, rola szkiełka i oka bez czucia i wiary może się okazać niewystarczającą)². Wprawdzie opublikowane artykuły były już przed ich kwalifikacją do druku recenzowane, jednak i w tym przypadku bardziej wiarygodne i uzasadnione wydają się być także recenzje przygotowane dla czasopism z dyscyplin nauk empirycznych. Takie jest przynajmniej moje, wynikające z doświadczenia przekonanie. Pomijam już inne w tym zakresie różnice³.

Osobiście zdecydowanie opowiadam się za rozprawami doktorskimi, choć opisana nowa droga uzyskania stopnia doktora i doktora habilitowanego ma prawne uzasadnienia i muszę się z tym pogodzić, choć bez entuzjazmu. Inne nakładu szeroko rozumianej pracy wymaga bowiem napisanie rozprawy doktorskiej, a innego kilku artykułów „sklejonych w całość” z tzw. dorobku naukowego – i to na potrzeby (a raczej z możliwości) łatwiejszego doktoryzowania się.

Zupełnie zaś nie rozumiem, jaki jest sens powoływania promotorów pomocniczych lub tzw. kopromotorów. Sytuacja taka oznacza dla mnie przede wszystkim rozmycie współodpowiedzialności za wartość naukową dzieła, czym obok doktoranta obciążam także promotora. Jest to być może rozwiązanie wygodne dla promotora (podstawowego?) i dla promotora pomocniczego czy kopromotora, ale u mnie rodzi to wiele wątpliwości⁴.

Przedmiotem krytyki naukowej jest oczywiście **rozprawa habilitacyjna**, za którą – jako za osiągnięcie naukowe – uznać można zarówno tradycyjną rozprawę (monografię), jak i jednotematyczny zbiór publikacji. Moje obiekcje są w tym przypadku takie same jak przy doktoratach. Habilitacja ma jednak swoją specyfikę. Jest przede wszystkim procedurą nie tylko sprawdzenia kompetencji naukowych habilitanta, ale także jego przygotowania do prowadzenia samodzielnej działalności naukowej i kształcenia kadry w tym zakresie. Obok oceny tzw. osiągnięcia naukowego obejmuje także ocenę dorobku naukowego, w mniejszym już stopniu dydaktycznego, organizacyjnego, popularyzatorskiego itp. Ocena dorobku naukowego musi jednak odgrywać zdecydowanie dominującą rolę, co też nie zawsze ma miejsce. W procedurze habilitacyjnej nie występuje promotor, co nie wyklucza roli, jaką w zakresie podnoszenia wiedzy i kwalifikacji habilitanta może odgrywać tzw. bezpośredni przełożony czy opiekun naukowy, a najlepiej mistrz. Jednak habilitant w 100% odpowiada za wartość naukową przedstawionych osiągnięć.

Zarówno w przypadku doktoratów, jak i habilitacji – w tym momencie mam na uwadze krytykę naukową – szczególna rola przypada oczywiście powoływanym recenzentom. To recenzenci decydują i powinni zawsze decydować o wartości naukowej osiągnięcia oraz dorobku naukowego, która będzie uzasadniać nadanie obydwu stopni doktorskich. Jest to trudne i odpowiedzialne zadanie. Trudne – bowiem wymaga dużego nakładu pracy, a odpowiedzialne – ponieważ przesądza o dalszym losie zawodowym aspirującego do jednego z tytułów doktorskich kandydata. Bycie recenzentem wymaga z jednej strony wiedzy teoretycznej, metodologicznej i faktograficznej w przedmiocie zainteresowań kandydata do stopnia oraz doświadczenia w zakresie recenzowania dorobku naukowego, a z drugiej strony solidności, uczciwości, odpowiedzialności, ale także przyjmowania pewnych norm moralnych, bezstronności oraz tzw. cywilnej odwagi.

² W ocenie wartości naukowej prac z nauk empirycznych w grę raczej nie wchodzi aspekty ideologiczne, światopoglądowe i polityczne, które – niestety – odgrywają coraz większą rolę w naukach społecznych.

³ Znacznie większy i bardziej międzynarodowy zasięg odbioru mają też prawdopodobnie czasopisma publikujące prace z zakresu nauk empirycznych niżli społecznych, mające mniej krajowego, regionalnego i lokalnego odniesienia.

⁴ Oznaczać to może nie tylko rozmycie odpowiedzialności, ale także podwykonawstwo w zakresie obowiązków promotorskich, asekurację, brak kompetencji, ale także „wzbogacenie osiągnięć” w sferze kształcenia młodych kadr.

Recenzenci – zwłaszcza w przewodach habilitacyjnych – często stają jednak wobec określenia ram krytycznej oceny osiągnięcia, do czego są zobowiązani zapisem ustawowym⁵. Ustawa bowiem stanowi, że przedmiotem oceny jest „osiągnięcie naukowe stanowiące znaczny wkład w rozwój danej dyscypliny oraz istotna aktywność naukowa”. Niestety nie wiem, ani co to jest „znaczny wkład” ani też co jest miarą „określenia poziomu znaczości wkładu dorobku w rozwój danej dyscypliny”. Nie wiem też, co to jest „istotna aktywność naukowa” oraz jakie są miary tej aktywności. W nawiązaniu do zapisu ustawy, ocena dorobku nie opiera się zatem na żadnych wyraźnych, jednoznacznie określonych kryteriach, co oznacza, że ta sama habilitacja (osiągnięcie naukowe i dorobek) może być przez jednych uznana za osiągnięcie będące wybitnym i zarazem znacznym wkładem w rozwój danej dyscypliny, a przez innych za kompletne nieporozumienie. Jednocześnie oznacza to, że wynik procedury – zwłaszcza habilitacyjnej – jest wypadkową indywidualnych ocen osób wchodzących w skład swego rodzaju egzekutywy, nazywanej komisją habilitacyjną. Spawa ma zatem jednoznacznie personalny wymiar – i to po obydwu stronach biorących udział w tej procedurze. Z jednej strony jest habilitant i jego osiągnięcia, a z drugiej – zespół oceniający i nadający stopień doktora habilitowanego lub wnioskujących o jego nadanie. To z tych powodów tak ważną rzeczą są wspomniane powyżej cechy, jakich należałoby oczekiwać od recenzentów. Czy tak jest jednak zawsze? Nie wydaje mi się, aby zawsze tak było.

Jest rzeczą oczywistą, że recenzje osiągnięć naukowych w przewodach doktorskich i habilitacyjnych muszą zawierać składniki krytyki naukowej. Koncentrować zaś powinny się przede wszystkim na tym, co jest faktycznym osiągnięciem naukowym (jeśli już – to *znaczącym*, a nie *znacznym*) i co jest wkładem autora w rozwój dyscypliny. Nie oznacza to jednak pomijania tego, co jest słabością przedstawianego osiągnięcia, zwłaszcza w wymiarach: formalnym, teoretycznym, metodologicznym i empirycznym (faktograficznym). Recenzja nie może być jedynie zbiorem zachwyków i pochlebstw, chyba że mamy do czynienia z przypadkiem *geniusza*, ale ci nie rodzą się na zamówienie. Odpowiedzialne sformułowanie ostatecznej oceny musi, co wydaje się oczywiste, wynikać z absolutnego przekonania co do tego, że kandydat do stopnia spełnia lub nie spełnia stawianych wymagań związanych z ubieganiem się o nadanie stopnia naukowego. W wielu sytuacjach i z różnych powodów znacznie łatwiej jest napisać, że spełnia niż że nie spełnia stawianych wymagań. W każdej jednak sytuacji zajęte stanowisko wymaga dokładnego, merytorycznego uzasadnienia, ale to jest już nie tylko kwestią wiedzy, kompetencji i doświadczenia, ale także solidności, odpowiedzialności, uczciwości, jednak przede wszystkim odwagi. Życzliwość względem osoby ubiegającej się o stopień nie może być oczywiście pomijana, jednak nie powinna wynikać ze współczucia, dobroduszości, miłosierdzia – i nie daj Boże, z koneksji, nacisków zewnętrznych oraz uprzednich ustaleń. Pracochłonność i czasochłonność przygotowania recenzji, przeciążenie obowiązkami zawodowymi oraz stosunkowo skromny ekwiwalent finansowy nie mogą być w żadnym przypadku usprawiedliwieniem recenzji sztamkowej, powielającej na podstawie spisu treści strukturę pracy i rekonstruującej cel, założenia badawcze, hipotezy, zastosowane metody, uzyskane wyniki itp. To wszystko ważne, ale ważniejsze jest, jak to zostało dokonane. Istotne, na ile dokonano tego na podstawie wnikliwej lektury tekstu a nie innych materiałów. Takie jest zadanie recenzenta, dla którego powierzenie tej funkcji powinno być traktowane jako wyraz wiedzy, doświadczenia i uznania kompetencji. Powinna być obowiązkiem doktorów habilitowanych i profesorów, a nie wyrażaną łaskawością⁶.

Obserwuje się jednak coraz bardziej kultywowany zwyczaj przygotowania recenzji, mający zresztą pewne ustawowe uzasadnienie, który wypacza procedury recenzenckie. Jest to posługiwanie się tekstem tzw. *autoreferatu*. Panuje dość powszechne przekonanie (moim zdaniem uzasadnione stanem rzeczy), że dobrze napisany autoreferat jest gwarancją sukcesu, a praktyka w tym zakresie jest coraz bardziej powszechna. Jasne, że taki dokument stanowi dla recenzenta poważne ułatwienie w pracy recenzenckiej, zwłaszcza jeśli objętość „osiągnięcia” liczy 100 i więcej stron – i tyle samo pozosta-

⁵ Ustawa z dnia 20 lipca 2018 r. – Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce (Dz. U. poz. 1668).

⁶ Coraz częściej recenzentami w przewodach habilitacyjnych i członkami komisji są w większości doktorzy habilitowani. Nie chce mi się wierzyć w to, że profesorowie odmawiają takich funkcji.

ły dorobek. Tak jednak być nie powinno. Autoocena zawarta w autoreferacie nie może być podstawą nadania stopni i tytułu naukowego z tego prostego powodu, że to nie przekonanie osoby ubiegającej się o stopnie naukowe (także tytuł), a ocena tekstu ma kształtować stanowisko recenzenta. Uwzględnianie treści i autoocen zawartych w autoreferacie nie oznacza niczego innego jak wprowadzenie do „auto-awansowania” na stopnie i tytuł naukowy. Należy zatem zakazać przygotowywania i przedstawiania takich elaboratów jak autoreferat. Podstawą oceny dorobku (osiągnięć) powinny być włącznie: tzw. wskazane osiągnięcia (doktorat, habilitacja, monotematyczne zbiory prac), załączone publikacje istotne dla dorobku (profesura) oraz spis publikacji. Osoby stosujące praktyki korzystania z autoreferatu powinny zostać napiętnowane i pozbawione prawa recenzowania w przewodach na stopnie naukowe i w postępowaniu o nadanie tytułu, a ciała kolegialne wymagające przygotowania takiego materiału lub tolerujące tego rodzaju praktyki recenzenckie powinny być pozbawiane stosownych kompetencji w tym zakresie. Jest to jedna z przyczyn, dla których polskie odsetki „doktoryzacji”, „habilitacji”, a po części „profesoryzacji etatowej” należą do najwyższych w świecie⁷. Stosunkowo najmniej zastrzeżeń mam do krytycznej oceny dorobku naukowego związanego z ubieganiem się o tytuł naukowy profesora, choć nieliczne wyjątki raczej potwierdzają, a nie odrzucają moje przeświadczenie.

Opisana tylko fragmentarycznie krytyka naukowa związana z uzyskiwaniem tytułu zawodowego, stopni naukowych i tytułu naukowego powinna, moim zdaniem, koncentrować się na wskazaniu tzw. dobrych stron dorobku naukowego, nie pomijając jednak słabości, o czym już wspominałem. Dorobku przedstawianego (praca inżynierska, licencjacka, magisterska), opublikowanego (habilitacja, monotematyczny zbiór publikacji) lub mającego być podstawą publikacji (maszynopis doktoratu).

W nauce mamy jednak do czynienia i z taką krytyką, która powinna koncentrować się przede wszystkim na słabościach przygotowywanych i przedstawianych tekstów naukowych przed ich opublikowaniem, a która dotyczy recenzji wydawniczych. Taki sam charakter powinna mieć krytyka związana z oceną projektów badawczych (grantów).

W czasach i w warunkach, w jakich przyszło mi terminować do roli (raczej nie zawodu) nauczyciela akademickiego, dobrym zwyczajem było przedstawianie napisanego tekstu opiekunowi naukowemu (mistrzowi) z prośbą o uwagi. Zwyczaj ten, w moim przypadku, był często kłopotliwym obowiązkiem, którego „dodatnie plusey” (jak mawiał klasyk) wkrótce jednak dały znać o sobie. W późniejszych latach sam wprowadziłem tego rodzaju praktyki w stosunku do moich uczniów, jednocześnie korzystając z krytycznych opinii koleżanek i kolegów, przedstawiając im przygotowane do publikacji teksty. Może i ten zwyczaj należałoby dla dobra dyscypliny – mówiąc górnolotnie – wprowadzić.

Rzeczywistość jest jednak zgoła inna. Tak zwana punktowa⁸ wydaje się być podstawowym czynnikiem rozwoju produkcji naukowej, a jednocześnie głównym celem opublikowania jej produktów. Pisze się więc wiele różnej jakości tekstów z nadzieją na ich publikację i zdobycie upragnionych punktów. Teksty trzeba oczywiście dostosować, w mniejszym lub większym stopniu, do profilu czasopisma, co zwykle prowadzi do poszerzania kręgu zainteresowań, ale i do zaniku specjalizacji. Nie jest to dla nauki korzystne, bowiem być specjalistą od wszystkiego praktycznie oznacza od niczego⁹. Kształtuje to jednak rzeczywistość, w której młodzi i będący w wieku średnim ludzie nauki więcej piszą niż czytają, a mimo tego coraz bardziej wierzą w swoją naukową omnipotencję¹⁰. Inicjatywa i kreatywność młodych uczonych jest ze wszech miar pożądana, jednak nie może być puszczona – jak to się mówi – „samopas”. Kontrola poziomu produkcji naukowej podopiecznych jest podstawowym obowiązkiem tzw. bezpośrednich przełożonych (doktorów habilitowanych i profesorów). Ale czy jest?

⁷ Nie znalazłem lepszych nazw na przytoczone wprowadzone wskaźniki (osoby na 100 000 ludności).

⁸ Zob. J.J. Parysek, 2021, Punktzoza, punktologia i punktatorstwo, *Prace i Studia Geograficzne*, 66.4, Wydział Geografii i Studiów Regionalnych Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa, s. 151–155 [przyp. red.].

⁹ Przypomina mi to w pewnym stopniu sytuację muzyków grających w lokalach gastronomicznych na tzw. zamówienie konsumentów (inaczej „muzyka do kotleta”).

¹⁰ Jest to po części zrozumiałe, kiedy zeszyt jest znacznie tańszy od książki, ale zawsze tak bywało.

W świetle doświadczeń stwierdzam, że chyba nie. Mam wiele uznania i szacunku do wielu moich koleżanek i kolegów (zbliżonych w wieku do mojego podeszłego i młodszych ode mnie), jednak nie wyobrażam sobie tego, aby wszystkie przesyłane do redakcji teksty młodszych ich współpracowników były przedmiotem ich uprzedniej krytycznej oceny¹¹. Krytyczna ocena jest natomiast zadaniem dla recenzentów, ale nie ma chętnych do tego rodzaju odpowiedzialnej pracy. W takiej sytuacji działa przysłowie o raku, który na bezrybiu jest też rybą. Problem w tym, że rak musi być dojrzały. Brak jest recenzentów z grona doktorów habilitowanych i profesorów – i nie ma dla mnie żadnego wytłumaczenia uchylanie się od takiej pracy, a właściwie obowiązku. W ten sposób w zaistniałej sytuacji napisanie recenzji często traktowane jest tak jak odrobienie pańszczyzny. Przygotowane opinie są zaś formalne, niemerytoryczne, ogólnikowe, bez koniecznego uzasadnienia zajętogo stanowiska. Tworzeniu takich recenzji sprzyja anonimowość autora tekstu i recenzenta. Ten pierwszy jest najczęściej formalnie anonimowy, natomiast ten drugi – realnie – i to jest kolejna słabość polskiej (choć nie tylko) krytyki naukowej. Otwiera bowiem drogi do tego wszystkiego, co mieści się w pojęciach poczynając od niesolidności, nieodpowiedzialności, braku szacunku, także arogancji, a kończąc – poprzez anonimowość – niekiedy na postawach niemożliwych do zaakceptowania z etycznego punktu widzenia.

W ten nurt działań wpisuje się nie tylko powierzanie młodym niedoświadczonym osobom recenzowania tekstów, ale także funkcji naukowych redaktorów kolejnych numerów czasopism. Efektem tego są narodziny grupy młodych naukowych celebrytów, bez wyraźnego dystansu i refleksji w stosunku do posiadanej wiedzy i doświadczenia, wykazujących przy tym niedobory w zakresie taktu i kultury¹². Mój rozwój naukowy odbywał się w czasach, w których nie było w Polsce epidemii punktozy i kiedy w procesie wydawniczym autor i recenzent pozostawali osobami jawnymi¹³. Otwierało to szansę dyskusji naukowej i dochodzenia do akceptacji przedstawianych poglądów, zazwyczaj zakończonych sukcesem. A młody adept nauki miał wtedy za swojego adwersarza recenzenta o uznanym autorytecie naukowym, z którym podjąć zawsze można było – bez strachu – dyskusję. To wtedy prawdziwa cnota nie musiała się bać krytyki. Recenzent miał przed sobą tekst przygotowany w obowiązującym standardzie, po uwagach mistrza – i jego autor nie miał się czego bać. Wiedział, że odpowiedzialny krytyk oceni nadesłany tekst jak należy, będąc wyposażonym w przymioty „prawdziwej cnoty”. Po obydwu stronach mieliśmy zatem do czynienia z cnotą pojmowaną tak jak przez starożytnych Rzymian, czyli jako opisany na wstępie tego tekstu *virtus*.

W tym miejscu warto jednak podnieść jeszcze inny ważny aspekt krytyki naukowej. Jest nim brak umiejętności krytycznej oceny tekstu naukowego. Na studiach nie uczy się bowiem tego w procesie kształcenia. Kiedyś robiono to podczas tzw. proseminariów i seminariów programowych. Za moich czasów kontynuacją tego były seminaria magisterskie. W programach studiów była filozofia, czasami logika, metodologia ogólna i metodologia szczegółowa (geografii, geografii społeczno-ekonomicznej, gospodarki przestrzennej), a w ramach konkretnych przedmiotów wiele miejsca zajmowały teorie. Nie wiem, jak to teraz wygląda. Może tego się nadal uczy, ale to nie jest problem. Problemem okazuje się to, kto uczy, czego uczy, jak uczy oraz czy ma miejsce wprowadzanie tego wszystkiego do praktyki podejmowanych badań na dalszym etapie kształcenia, a także w pracy naukowej i uprawianej krytyce. Braki w tym zakresie zauważają również młodszy ode mnie koledzy po fachu. Jakie są tego konsekwencje? Może zatem tylko krótko i wybiórczo, jednak w nawiązaniu do przesłania niniejszego tekstu.

¹¹ Jest pewien aspekt tej sprawy, na który zwraca uwagę wiele osób (ze mną włącznie), a mianowicie brak dystansu do własnej wiedzy, umiejętności, doświadczenia – przy poważnych brakach w zakresie logiki, teorii, metodologii oraz poprawnego zastosowania narzędzi analizy ilościowej.

¹² Są to wprawdzie nieliczne, ale młode osoby nieświadome tego, że w ich komórkach mózgowych powstaje ślad węglowy, który pozostawia wydobywający się CO₂ – kiedyś nazywano to wodą sodową.

¹³ Tak jest i dzisiaj w redakcjach niektórych czasopism zagranicznych. Tematyczne zeszyty redagują wybitni specjaliści, którzy sporządzają listy potencjalnych recenzentów w danym zakresie tematycznym. Można też wskazywać recenzentów – jednak nie z własnego środowiska.

W wielu recenzjach wydawniczych dominuje brak merytorycznej oceny, co ułatwiają arkusze recenzenckie, punktujące wyróżnione kategorie oceny. Z ocen tych wynika zaś określony wskaźnik syntetyczny, będący podstawą decyzji ostatecznej, czyli o zakwalifikowaniu lub niezakwalifikowaniu danego tekstu do publikacji. Rzadziej jest to sugestia wniesienia pewnych, konkretnie wskazanych uzupełnień i poprawek. Uzasadnienia takiej czy innej oceny i decyzji, które powinny zostać bezwzględnie zapisane, są zazwyczaj ogólnikowe i często nie mają żadnego związku z merytoryczną oceną publikacji.

Bardzo często recenzenci nie odnoszą się do takich podstawowych aspektów recenzji, jak: tytuł artykułu, zgodność treści z tytułem, sformułowanie celu pracy, oryginalność i znaczenia celu dla poznania naukowego, przyjęte założenia badawcze, podstawy teoretyczne badań, porządek terminologiczno-pojęciowy, poprawność zastosowania metod, forma prezentacji wyników badań, a ponadto struktura całości tekstu, poprawność językowa (nie tzw. literówki), wpisanie się artykułu w profil czasopisma itp. Nierzadko przygotowane teksty recenzji wskazują – bez uzasadnienia – na sprawy drugorzędne, nie odnoszą się do zamierzeń autora, kwestionują wybór obiektów badawczych, ich liczbę, cechy, zastosowane metody, czas przedmiotowy badań, użytą terminologię, przytaczaną literaturę, uchybienia edytorskie, zarzucają brak prawidłowej struktury tekstu, żywcem wziętej z prac przedstawiających wyniki badań empirycznych itp. Autorzy recenzji nie starają się wnikać w intencje autora, ograniczając jego prawo do decydowania o charakterze i zakresie przygotowanej pracy. Inne recenzje – bez wnikania w tekst – najczęściej na podstawie tytułu i abstraktu podkreślają pionierski, a przy tym oryginalny charakter dzieła, oryginalne rozwiązanie sformułowanych problemów, nowoczesność sformułowanego tytułu, nowoczesny język, doniosłość pracy dla wiedzy w danej dyscyplinie i jeszcze wiele innych pozytywnych, choć bez pokrycia cech. Jedne i drugie recenzje dowodzą niezbyt uważnego, pobieżnego, niesolidnego przeczytania tekstu lub wskazują na brak wiedzy i kompetencji, doświadczenia, a także na brak odpowiedzialności za podjętą decyzję, pomijając takie pozamerytoryczne czynniki, jak sympatia, znajomości, wyrozumiałość, miłosierdzie, ale i konkurencja, wrogość, zawiść, złośliwość itp. – co niejawnemu recenzentowi nie sprawia większego problemu. Szkoda, że stopniowo dają znać o sobie w naukach społecznych także ideologiczne i polityczne kryteria oceny, niestety przesądzające o odrzuceniu nadesłanego tekstu bez próby wniknięcia w jego wartość naukową. Oczywiście poszukuje się także innych, wręcz absurdalnych powodów odrzucenia tekstu, stosując zasadę „nie, bo nie”. Niekiedy jest to efekt nadgorliwości recenzenta, chęci bycia politycznie poprawnym, przypodobania się kolegom, władzy lub opozycji, a czasami braku zwykłej, cywilnej odwagi. Dotyczy to zresztą nie tylko polskich recenzentów. Dzieje się to wszystko nie tylko bez uzasadnienia (ze strony recenzentów), ale bez możliwości dochodzenia własnych racji (ze strony autorów). Takie recenzje trafiają do redakcji czasopism i sprawa jest w zasadzie skończona. Innymi słowy: *finis coronat opus* – i nic się nie stało¹⁴.

Generalnym efektem takiego traktowania szeroko pojmowanych obowiązków recenzenckich jest degradacja i stopniowy upadek znaczenia nauki polskiej w dziedzinie, jaką się zajmujemy. Produkcja naukowa w ujęciu ilościowym jest odwrotnie proporcjonalna do rangi i znaczenia polskiej geografii społeczno-ekonomicznej i gospodarki przestrzennej. Kiedyś było jednak inaczej – i to w warunkach funkcjonowania żelaznej kurtyny i jej konsekwencji, jaką była izolacja nauki polskiej i pochodne tego stanu rzeczy. Niech zaświadczy o tym jedynie kilka nazwisk, dla mnie naukowych autorytetów, wzorców, mistrzów, nauczycieli, takich jak profesorowie: Stanisław Leszczycki, Kazimierz Dziewoński, Ryszard Domański, Jerzy Kostrowicki, Zbyszko Chojnicki czy Antoni Kukliński, ale dla młodego pokolenia osób zupełnie nieznanymi¹⁵.

Nie ma prawdziwej cnoty, nie ma prawdziwej krytyki, nawet bojaźń nie jest prawdziwa. Takie mamy czasy.

¹⁴ Nie tak jednak „koniec wieńczący dzieło” pojmowali starożytni Rzymianie...

¹⁵ Por. J.J. Parysek, 2020, Polska geografia społeczno-ekonomiczna (i gospodarka przestrzenna) w okresie przełomu. Kilka wybranych refleksji, *Prace i Studia Geograficzne*, 65.2, Wydział Geografii i Studiów Regionalnych Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa, s. 33–56; zob. tamże zwłaszcza s. 41–43 [przypr. red.].